



Kurczę pieczone *w miłosnej* marynacie

*Doprawieni
pocatkami #1*

ALEKSANDRA
WASILEWSKA

Rebelle

WYDAWNICTWO

Copyright © for the text by Aleksandra Wasilewska
Copyright © for this edition by Wydawnictwo Rebelde
Leszno 2026

All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:
Justyna Szymkiewicz

Korekta językowa:
Aleksandra Kuczyńska

Korekta po składzie:
Jolanta Szalak, Kamila Polańska

Ilustracje na okładce, projekt okładki i oprawa graficzna:
Justyna Knapik @hermetycznie_zamkniete

Skład i opracowanie ebooków:
Michał Bogdański

Wydanie I

ISBN: 978-83-68916-32-4

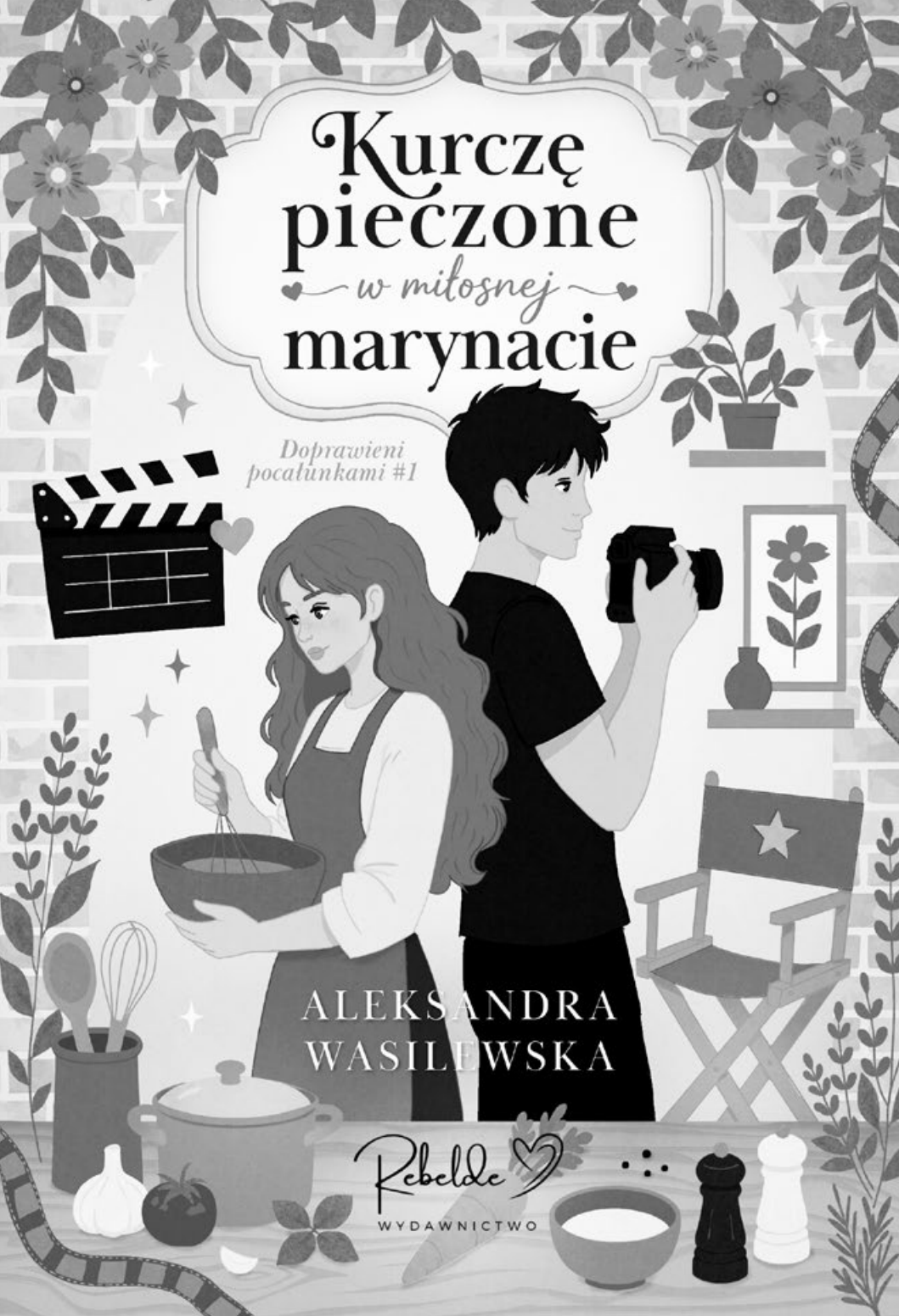

WYDAWNICTWO

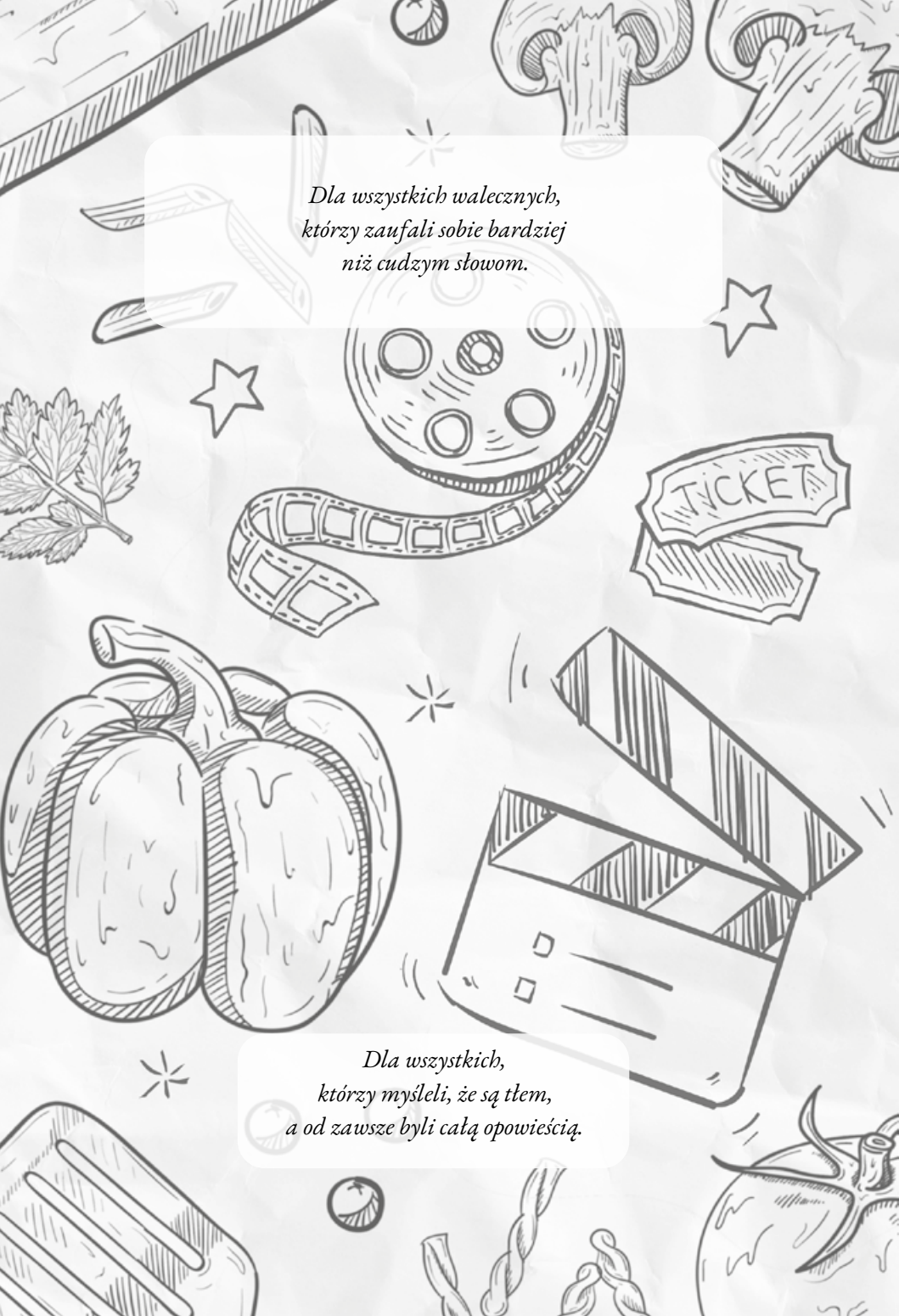
Kurczę pieczone ~ w miłosnej ~ marynacie

*Doprawieni
pocałunkami #1*

ALEKSANDRA
WASILEWSKA

Rebelle 
WYDAWNICTWO





*Dla wszystkich walecznych,
którzy zaufali sobie bardziej
niż cudzym słowom.*

*Dla wszystkich,
którzy myśleli, że są tłem,
a od zawsze byli całą opowieścią.*



Od autorki

Drogi Czytelniku!

W mojej głowie ta historia jawi się jako romans obyczajowy zawierający głębię psychologiczną, elementy komedii romantycznej i pikantniejsze sceny. Nie przychodzi mi na myśl odpowiedni gatunek, który określałby, jaka dokładnie jest ta książka. Dlatego uprzedzę Cię, że znajdziesz tu mnóstwo humoru i zaczepnych, cudownie rozkosznych dialogów między Daggie (jak skrót imienia mamy głównej bohaterki – Maggie) i Xandrem (od Alexandra – nie Xandera) oraz romantyczne napięcie. Ale oprócz tych przywar pojawia się tu również wiele scen, które mogą Cię poruszyć. Bohaterowie są ludzcy, błędzą, myślą w porywach namiętności, podejmują decyzje, które doprowadzają do konieczności podjęcia nowych... Dagmarie Moore to dziewczyna, która mogłaby żyć bliżej, niż myślisz. A wielki gwiazdor kina akcji to mężczyzna, który widzi więcej – co też nie jest przypadkiem.

Dlatego, jeśli zdecydujesz się wejść do serca tej powieści, proszę, spodziewaj się, że mieszanka przypraw czasem będzie słodka, czasem pikantna, a czasem gorzka lub nawet słona.

W tej powieści pojawiają się traumy, przemoc psychiczna czy ekonomiczna, dylematy moralne, napięcie emocjonalne oraz opisowe sceny erotyczne.

Jeśli któryś z powyższych tematów jest dla Ciebie niekomfortowy, zastanów się nad lekturą – Twoje zdrowie i dobro zawsze są najważniejsze.

Jeśli jednak uznasz, że masz ochotę spróbować, najserdeczniej witam Cię w książce, której pisanie było jedną z moich ulubionych twórczych przygód. Dagmarie Moore weszła w moje serce tak bardzo, że jej echo wybrzmiewa we mnie do dziś.

Chciałabym ugościć Cię w powieści, która bawi, wzrusza, a czasem dodaje rumieńców. Będzie mi miło, jeśli do lektury przygotujesz sobie pyszny napój lub weźmiesz ulubione przekąski. Gwarantuję, że gdy usiądziesz w najwygodniejszej pozycji, z kocykiem lub na balkonie, Daggie uśmiechnie się szczerze.

Witam Cię w książce, która tętni życiowymi przyprawami.

Rozgość się – od teraz ta opowieść naprawdę należy do Ciebie.



Rozdział 1



To ten moment, kiedy uświadamiam sobie, jak mało znaczy moje życie. Gdy dosiada się do mnie dwóch zachowujących się bardzo podejrzanie mężczyzn, zamiast uciekać – trwożę się o trzypiętrowy tort i zimne udka z kurczaka.

Rozglądam się po opustoszałym wagonie metra, ale nigdzie nie dostrzegam ratunku. W sąsiednim składzie widzę kilka osób, mimo to się nie przesiadam. Trwam dzielnie z niebieskim tortem jadącym obok mnie jako pasażer na gapę.

To cholerstwo waży tonę, a kosztowało jeszcze więcej. Co z tego, że to tylko nieodebrany przysmak na baby shower? Smakuje wyśmienicie, więc nie zamierzam pozwolić, aby się zmarnował.

O ile oczywiście przeżyję do momentu, gdy przekroczyć z nim bezpieczny próg mieszkania.

Mężczyźni są ubrani na czarno, twarze skrywają za kapturami. Nie mają żadnych widocznych tatuaży, znaków szczególnych. Są zupełnie przeciętnej wagi, typowi Amerykanie. Wzrost, styl, brak gracji – wszystko przeciętne.

Nieprzeciętne jest jedynie ich zachowanie.

Ściskam mocniej aluminiową tackę z aromatycznym kurczakiem, którą trzymam na kolanach, i z szeroko rozwartymi oczami czekam na rozwój sytuacji.

– Masz ogień? – pyta ten, który rzuca się na siedzenie naprzeciwko mnie.

Ten drugi jest cwany. Opiera się o metalową poręcz przy wejściu, przez co blokuje mi ewentualną drogę ucieczki.

– Nie, nie palę – odpieram. – Ale ten zapasek, który mylisz ze śwądem spalenizny, to przepysznie upieczony kurczak w sosie własnego autorstwa.

Staram się być spokojna. Co innego mogę zrobić?

– A fajkę?

Poprawka: ten siedzący jest nadzwyczaj nieinteligentny.

– Nie mam papierosów, skoro nie palę. – Teatralnie przewracam oczami. – Chcesz pałeczkę kurczaka czy całe udko?

– Nie – odpowiada trochę głupkowatym tonem. Spogląda na tego drugiego, jakby szukał ratunku.

To dobry moment, aby jego również włączyć do rozmowy.

– Nie jesteście głodni? – Przykładam dłoń do policzka, aby udać niebywałe zaszokowanie. – Na żółwika! Dochodzi dwunasta w nocy, a wy nie jesteście głodni? Ależ nie krępujcie się! Dla mojej rodziny i tak starczy.

– „Na żółwika”? – powtarza pod nosem ten siedzący.

– No tak! Przecież małolatom nie wypada przeklinać. Co by na to powiedziała moja babcia? – Otwieram opakowanie z kurczakiem i podsuwam mu je pod nos.

Nie mam już żadnej babci, ale oni nie muszą o tym wiedzieć. Tak samo nie muszą być świadomi tego, że skończyłam dwadzieścia pięć lat. Zmordowana po pracy i bez makijażu spokojnie mogę uchodzić za nastolatkę.

Ten przy barierce rusza szybko w moją stronę. Chwyta dłonią w rękawiczce udko z kurczaka i jak gdyby nigdy nic wbija w nie szczyryk.

Mhm... takie buty.

– Masz może coś bardziej wartościowego? – pyta dziwnie charczącym głosem. Odkrawa kawałek mięsa i wkłada je do ust. – Po takim pysznym jedzeniu przydałby nam się odpoczynek, a nie stać nas na hotel. Dobrowolnie wspomóżesz potrzebujących czy potrzeba ma się stać nieco bardziej pałąca?

– No właśnie – wtóruje mu ten drugi. Też zajął się konsumpcją, czerwony sos kapie mu na spodnie, a on zdaje się tym kompletnie nie przejmować.

– Wpłacam tylko na zarejestrowane zbiórki. – Zasłaniam usta dłonią, jakbym chciała powiedzieć im coś w tajemnicy. – Trochę żałuję, że w tym roku nie mogę już sprzedawać skautowskich ciasteczek. Właśnie zakończyłam etap *middle school*. – Chichoczę historycznie.

Oni zaś patrzą po sobie, chyba zastanawiając się, czy nadal jestem warta obrabowania.

W końcu co – oprócz wielkiego tortu, tacki pełnej pikantnych kawałków kurczaka i naiwnego humoru – może mieć nastolatka?

Truskawkowe gumy do żucia w plecaku?

– I sama tak sobie jeździsz?

– Nie jest sama – odzywa się męski głos.

Ładny, dźwięczny i przyjemny dla ucha, nie to, co u tych skrzeczących gadów.

Wszyscy odwracamy głowy w lewo, skąd zmierza w naszym kierunku gwiazdor w męskim wydaniu.

Dosłownie.

– Ja jebie! – mówi z pełną buzią siedzący obok nieznajomy. Jak na zawołanie prostuje się, kość kurczaka wyrzuca gdzieś pod siedzenie, a tłuste dłonie wyciera w portki.

Ten stojący reaguje mniej opisowo: po prostu się nie rusza.

– Nie mówiłaś, że go znasz! – krzyczy podekscytowany łapserdak. Od teraz tak zamierzam nazywać tego bez szczyryka w dłoni.

– To moja dziewczyna – odpowiada buńczucznie nowo przybyły.

Też ma na sobie czarne spodnie i czarny T-shirt, na nim jednak wszystko leży ze zdecydowanie większą gracją. Koszulka opina pięknie zarysowane mięśnie, a spodnie świetnie podkreślają wąską talię. Jest wysokim szatynem o niezwykle brązowych – prawie czarnych – oczach. Jego prawe przedramię zdobi tatuaż tworzący bransoletkę złożoną z dwóch pasów, z lewego zaś na markowym pasku zwisa równie drogi aparat.

Ten to dopiero wybrał świetny bagaż do chicagowskiego metra.

– Jesteś z nastolatka? – dziwi się łapserdak. Podnosi ręce w obronnym geście. – Nic dziwnego, że szlajasz się z nią po metrze. Tu na pewno nie przydybią was paparazzi.

Faktycznie. Gęba skądś znajoma.

Ciacho, jak gdyby nigdy nic, siada obok mnie i zaborczo układa rękę za moimi plecami.

– Ile chcecie za dyskrecję? – pyta. – Czy dwa strzały w ryj będą wystarczającą walutą? Bo mogę sprzedać wam ich więcej. – Rozsiada się wygodnie, jak król. Mam wrażenie, że zajmuje sobą całą przestrzeń w wagonie.

– Autograf dasz? – pyta ten ze szczyrykiem.

Tylko że... nie ma go już w dłoni. Kurczaka zresztą także.

Dlaczego tyle mięsa zmarnowało się na tej podłodze?! Było pyszne. Nie ma już dziś smakoszy. Doprawdy nie...

– Chcesz na bluzie? – zagaja jakby od niechcenia mój wybawca.

– Ja pierwszy! – emocjonuje się łapserdak. – Pisaka masz?

– Mam.

Gwiazdor wyciąga biały marker z kieszeni i ustami odciąga zatyczkę.

– Zajebiście! – Łapserdak kiwa głową tak, że spada mu kaptur.

To jakiś pryszczaty dwudziestokilkulatek. W dodatku już rozumiem, czemu charczy – ma tak czerwony nos, że nie trzeba być lekarzem, aby dostrzec jego przeziębienie.

Wrześniowa pogoda robi swoje.

Przystojniak kręci palcem, aby fan się odwrócił, i pyta:

– Dla kogo?

– Luke Brighstorm – wypływa z uśmiechem.

– Ty idioto – wtrąca jego towarzysz.

Idol niestrudzenie maże mu po bluzie na plecach. Przekręcam głowę i dostrzegam, że podpisał się jako Alexander Turner.

– Klasa! – cieszy się Luke. – Kto by pomyślał, że spotkam gwiazdę kina akcji! W metrze! Jesteś jak ten Kinu River...

– Keanu Reeves – poprawia go Alexander.

– A chuj go tam! On już miał swój czas. Teraz ty wymiatasz.

– Nie zgadzam się. Keanu to legenda – mówię dosadnie.

– A ty z kim sypiasz, co? – odpiiera szybko. – Musisz ją jakoś naprostować.

Baba cię nie szanuje.

– Już my sobie porozmawiamy. – Turner mruga do niego.

Boże... Co za kutas.

Przecież mogłam się okazać nastolatką.

– Wysiadamy, Luke. Koniec tego kółka filmowego – informuje ten bardziej stoicki, gdy pociąg zatrzymuje się na stacji.

– Już idę! – pokrzykuje Luke i zbija jeszcze męską piątkę z Alexandrem. Gdy tylko wysiada, a drzwi jeszcze się za nim nie zamykają, mówi: – Trevor, przestań być takim lamusem. To pieprzony Alexander... Aua!

– Zamknij się wreszcie.

Nasz wagon mija ich w momencie, gdy Trevor ostro klepie znajomego po plecach, a tamten pluje sosem lub krwią na szybę pociągu.

Jak miło.

– Jesteś cała?

– W zupełności, zboczeńcu – odpowiadam, nawet na niego nie patrząc.

– Gorsze rzeczy słyszałem. Co tu masz? – Wpycha łapska do aluminiowej tacki, a ja nerwowo ją odsuwam.

– Gdzie? – syczę. – Mama nie uczyła, że trzeba umyć ręczki?

– Ty tak na serio? – Odsuwa się trochę, ale umięśnionej ręki zza moich pleców nie zabiera.

– A czemu nie? To jedzenie ma jeszcze przyszłość. – Wyglądam nieistniejące wgniecenie, jakby chcąc się upewnić, że upieczony kurczak jest „cały i zdrowy”.

– A tort?

Podążam za jego wzrokiem i widzę spływające kleksy bitej śmietany. Niepotrzebnie stawiałam go przy nawiewie grzejnika.

– Jeśli przypadkiem zmierzasz właśnie na chłopięce baby shower, to z chęcią ci go odsprzedam z jakimś drobnym rabacikiem.

– Dokąd jedziesz, mała nieznajoma?

– Wszystkim kobietom wypominasz ich wzrost? – pryham. Nie musi nabijać się z moich stu pięćdziesięciu siedmiu i pół centymetra.

– Czyli jednak jesteś kobietą?

– A na kogo wyglądam?

– Wyglądałaś na dziewczynkę w niezłych opałach. Nazwałaś mnie jednak zboczeńcem, więc faktycznie mogłem dać się nabrać na te naście lat. Nie mów tak więcej.

Mrużę gniewnie oczy i przewiercam go spojrzeniem.

– To na ile lat ci wyglądam?

Mierzy mnie uważnie wzrokiem, rozpierając się wygodnie na siedzeniu.

– Dałbym ci dwadzieścia jeden. – Uśmiecha się zawadiacko. – Ale tylko dlatego, że jest mi to na rękę.

Wywracam oczami i burczę coś pod nosem.

– Nie musisz już przypadkiem wysiadać? – pytam wściekła.

– Odprowadzę cię do domu. – Kiwa zadaniowo głową.

– Fantastycznie. To chodź – mówię, szybko wstając, gdyż pociąg właśnie kończy swój bieg na stacji North/Clybourn. – Tylko pamiętaj o torcie. Jest ciężki, więc przydadzą mi się twoje mięśnie – wymawiam ostatnie słowo niczym życzenie, beczelnie obłapiając Alexandra wzrokiem.

Uśmiecha się pod nosem i usłużnie chwyta ciasto. Staję przy wyjściu, a on tuż za mną.

– Zawsze jesteś taka niegrzeczna dla idoli?

– Nie znam cię – rzucam krótko.

Zaraz potem wychodzimy na mocno rozświetloną stację. Kroki kieruję w stronę schodów, po których wspinamy się łeb w łeb.

Może przydałby mi się taki tragarz na co dzień w restauracji? Sprawnie mu wychodzi poruszanie się z tortem zasłaniającym widok.

– Szukasz może pracy?

Śmieje się w odpowiedzi.

– Nie. Aktualnie mam dobry angaż.

– No co ty nie powiesz... – mruczę. – Keanu Reevesa znam, ale ciebie kompletnie nie kojarzę. Jesteś pewien, że to dobre zlecenie?

– Przynajmniej wiesz, że jestem aktorem.

– Nie po twoich umiejętnościach – szepczę pod nosem.

– Słucham?

– Nie po twojej filmografii – mówię głośniej. – Mam dość sprawny umysł i rozumiem, co to oznacza, gdy ktoś mówi o tobie „gwiazda kina akcji”.

– Jesteś wredna.
– Nie. Mam po prostu dużo pracy w życiu. A tych wolnych chwil wytchnienia z pewnością nie spędzam na siedzeniu w niewygodnych salach kinowych.

Wychodzimy na świeże powietrze.

– To gdzie teraz?
– Postaw tort na kurczaku. Dalej już zabiorę się sama.
– To raczej nie wytrzyma presji. – Patrzy z powątpiewaniem na aluminiową tackę w moich rękach.
– Przecież doniosłam to jakoś do metra, to i w drodze do domu dam radę.
– Zawsze tak dziękujesz za ratunek?
– A kiedy niby mnie uratowałeś? To nie był filmowy scenariusz, w którym przystojniak w odpowiednim momencie wkracza w życie szarej myszki i rozkochuje ją w sobie do szaleństwa. Nie żyjemy w komedii romantycznej. Daj ten tort – poganiam go. – Chcę iść spać.
– Obiecałem, że odprowadzę cię do domu. Zresztą nigdy nie wiesz, czy nie natkniesz się na kolejnych zbirów.

– Coś bym wymyśliła.
– Znów udawałabyś naiwną nastolatkę? To twój super plan?
– Och, na żółwika! – Ruszam przed siebie.

Do mieszkania rodziców, w którym wspaniałomyślnie pozwalają mi również mieszkać, mam raptem kilka minut spacerem. To plusy życia w Chicago – mieście z doskonale rozwiniętym transportem publicznym.

Minusem są natrętni aktorzy pastwiący się nade mną od czasu do czasu.

– Jak się nazywasz?
– „Jak się nazywasz?” – przedrzeźniam go. – „Ile masz lat?” Mój rozmiar stanika też chcesz czy łaskawie to sobie odpuścisz?
– Raczej specjalnie go nie potrzebujesz – stwierdza, patrząc z ukosa na moje cycki.

Przytulam do siebie mocniej kurczaka i płonę rumieńcem nienawiści.

– Cham, burak i prostak.

- Cytujesz moich antyfanów. Ranisz moje biedne serce.
- Grałeś wampira, więc może go nie masz.
- O! Czyli jednak oglądałeś coś z moim udziałem.
- Nie – ucinam krótko. – Po drodze mijaliśmy stary plakat w metrze.

Mignęło mi twoje nazwisko.

- Jesteś dziwna.
- To ty na mnie wpadłeś i nie chcesz się odczepić, więc nie narzekaj.
- Miałbym w zanadru kilka dobrych argumentów, ale nie będę ich

marnował na taką marudę.

- Jak sobie chcesz.

W ciszy docieramy pod właściwy apartamentowiec.

- Które piętro?

O nie. Przystaję zdębiała nagłym strachem. Z pewnością nie wejdziesz mną na górę. Jeszcze tego mi brakuje, żeby przypadkiem spotkał się z mamą, która jest zapaloną filmożerczynią. Jestem przekonana, że jeśli ten aktorzyzna grał w czymkolwiek, co jest dostępne na którejś z platform streamingowych, moja mama na pewno go kojarzy.

– Ciasto wjedzie już windą. Nie musisz od razu wpychać mi się do lodówki.

– To śmieszne, że nawet nie wiesz, jak często z niej wyskakuję. Dasz mi chociaż spróbować tego kurczaka?

- A masz jak zapłacić?
- Gotówką czy w naturze?

Posyłam mu skamieniałą minę, która mówi chyba więcej niż tysiąc słów.

- W kieszeni mam dwadzieścia dolarów. Sięgnij sobie.

Wzruszam ramionami, przekładam tackę na jedno biodro i wolną dłoń wpycham w opięte jeansy. Zachłannie grzebię, ale pomimo chęci nie jestem w stanie zlokalizować banknotu.

- Spróbuj w tej jajecznej.

„JAJECZNEJ”?!

Wyciągam dłoń jak oparzona i ponownie chwytam oburącz aluminiową tackę. Z obrzydzeniem stwierdzam, że właśnie całkiem dokładnie obmacalam go po dupie.

– Jak dasz mi już spokój, będziesz mógł zabrać całego cholernego kurczaka.

– Do kogo mówisz? – Podziwia szczyt apartamentowca i udaje, że nie zwraca na mnie uwagi.

Wiem, czego chce.

– Gorzej niż z dzieckiem. Idź już sobie, Alexandrze Turnerze.

– Wystarczyłby Xander. I nie pójdę, dopóki nie powiesz mi, ile masz lat i jak się nazywasz.

– Przecież to nieważne. Już więcej się nie spotkamy.

– Tak będzie fair. Mnie wpiszesz sobie w Google i zdobędziesz wszystko, czego dusza zapagnie.

– Pewnie połowa z tego jest nieprawdą.

– Dlatego powiedziałem, że znajdziesz, czego dusza zapagnie. A ja chciałbym jedynie wiedzieć, komu uratowałem dziś życie.

– Moje życie nie było zagrożone. Oskaltowany został jedynie nieżywy kurczak.

– Dobrze, jak chcesz. – Siada na schodkach prowadzących do wieżowca, a ja kopię go lekko butem w łydkę.

– Jesteś bezdomny?

– Zupełnie nie.

– To bierz tego kurczaka – wpycham mu tackę w dłoń – i zmiataj do domu.

– Pracujesz w restauracji przy State Street?

Mrozi mnie. *Skąd wie? Śledził mnie czy jak?*

– Spokojnie. Tu przeczytałem. – Wskazuje palcem na dolny róg kartonowego opakowania z tortem. – Trudno nie zapamiętać adresu, gdy przez kilka minut masz go centralnie przed twarzą.

– To groźba?

Przewraca oczami i kręci głową.

– Dagmarie Moore, dwadzieścia pięć lat – wypływam.

Wolę to, niż żeby z czystej przekory nachodził mnie w pracy.

On zdaje się zadowolony odpowiedzią. Uważnie objężdża mnie wzrokiem.

Ciekawe, co najbardziej rzuciło mu się w oczy.

Utyłtany fartuch i rozklekotane trampki czy firmowa bluzka, której różowy kolor z pewnością nie pasuje do mojej bladej cery, rudych włosów do ramion i zielonych oczu.

– Och, no dobra. – Wyciągam do niego dłoń. – Daggie – przedstawiam się. – Idź już. Jeśli kiedyś przypadkiem się jeszcze spotkamy, oczekuję pieśni pochwalnych na temat mojej autorskiej marynaty do mięsa. I to na tyle. Xander idzie do domu.

Podnosi się i dopiero teraz zauważam, jak bardzo nade mną góruje. Jestem przekonana, że jest między nami więcej niż trzydzieści centymetrów różnicy.

Jego lekko kręcone, brązowe włosy zmysłowo opadają na pięknie opalone czoło, a kwadratowa szczeka podkreśla wydatne kości policzkowe...

Jezu.

O czym ty myślisz, Dagmarie?

Otrząsam się z chwilowego wariactwa i zadziornie unoszę podbródek.

– Poczekam, aż znikniesz w drzwiach – nachyla się nade mną – rozdzielcu.

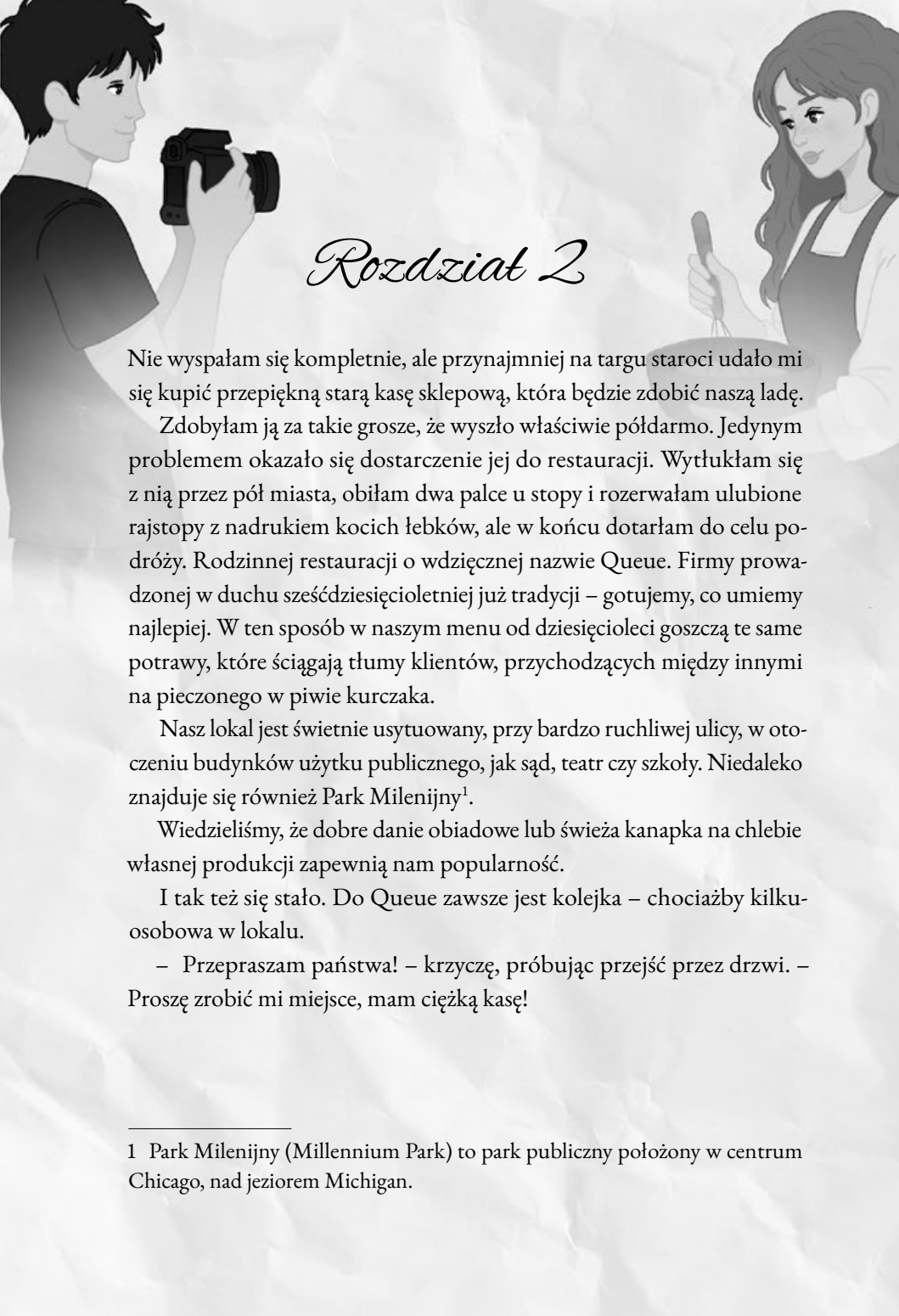
Jego oddech owiewa szczyt mojej głowy, co elektryzuje kilka włosków, które przyczepiają się do jego ust.

Sama też spinam się jak naelektryzowana.

– Smaczno – rzucam i znikam za szklanymi drzwiami budynku.

Dopiero tam biorę głęboki wdech. Już chcę iść w stronę windy, ale odwracam się, bo mam puste ręce.

Raczę go chwilą swojego upokorzenia – cofam się i zabieram ciasto. Na odchodne upewniam się, że Alexander doskonale widzi receptory smakowe na moim języku.

A faint, stylized illustration in the background shows a man on the left holding a camera up to his eye, and a woman on the right holding a fork. The background has a crumpled paper texture.

Rozdział 2

Nie wyspałam się kompletnie, ale przynajmniej na targu staroci udało mi się kupić przepiękną starą kasę sklepową, która będzie zdobić naszą ladę.

Zdobyłam ją za takie grosze, że wyszło właściwie półdarmo. Jedynym problemem okazało się dostarczenie jej do restauracji. Wytłukłam się z nią przez pół miasta, obilałam dwa palce u stopy i rozerwałam ulubione rajstopy z nadrukiem kocich łebków, ale w końcu dotarłam do celu podróży. Rodzinnej restauracji o wdzięcznej nazwie Queue. Firmy prowadzonej w duchu sześćdziesięcioletniej już tradycji – gotujemy, co umiemy najlepiej. W ten sposób w naszym menu od dziesięcioleci goszczą te same potrawy, które ściągają tłumy klientów, przychodzących między innymi na pieczonego w piwie kurczaka.

Nasz lokal jest świetnie usytuowany, przy bardzo ruchliwej ulicy, w otoczeniu budynków użytku publicznego, jak sąd, teatr czy szkoły. Niedaleko znajduje się również Park Milenijny¹.

Wiedzieliśmy, że dobre danie obiadowe lub świeża kanapka na chlebie własnej produkcji zapewnią nam popularność.

I tak też się stało. Do Queue zawsze jest kolejka – chociażby kilkuosobowa w lokalu.

– Przepraszam państwa! – krzyczę, próbując przejść przez drzwi. – Proszę zrobić mi miejsce, mam ciężką kasę!

1 Park Milenijny (Millennium Park) to park publiczny położony w centrum Chicago, nad jeziorem Michigan.

Nie do końca widzę, czy kogoś nie taranuję, bo skupiam się na tym, aby nie zrzucić żadnemu z czekających metalowego pudła na nogę. Niestety trącam wysuniętą szufladą zdenerwowaną klientkę.

– Każdy z nas czeka w kolejce! – pokrzykuje męski głos.

– To świetnie. Mamy dziś pyszne kanapki z pieczonym kurczakiem. To specjalność szefowej!

Sapię jak rodząca kobieta i ostatkiem sił wrzucam kasę fiskalną za próg restauracji. Dumna z siebie stoję w pozie superbohaterki i rozglądam się po wnętrzu lokalu.

Wszystkie stoliki są zajęte, Harry zaś w dużym skupieniu obsługuje płatności. Jules i Tara zapewne krzątają się w kuchni, kroją kurczaka, którego szykowałam wczoraj wieczorem, aby dziś spokojnie móc udać się na targ.

– Niechże pani to przesunie z łaski swojej – odzywa się jakiś niewysoki klient. W ręku trzyma kubek z kawą, a w dłoni zapakowaną kanapkę z peklowaną wołowiną. – To wysoce niekulturalne. Młodzież! – Cmoka, mijając mnie w wejściu.

To może byś pomógł cherlawej strongmence, skoro jesteś taki mądry?!

– Dawaj, razem to przesuniemy. – Słodki głos Tary rozbrzmiewa po mojej prawej.

Wspólnie przepychamy kasę na zaplecze.

To kochana dziewczyna, pełna słońca i wigoru. Z pochodzenia Nigeryjka, a bujnych kształtów zazdrości jej niejedna kobieta. Przepiękne afro ma ścięte tuż za uchem, przez co wygląda, jakby chodziła w czarnej aureolce. Mogłaby zostać modelką, ona jednak uparcie twierdzi, że marzy jej się kariera aktorki. Nawet ostatnio dostała jakiś mały epizod w serialu medycznym. Wszyscy mocno trzymamy za nią kciuki. Dorabia u nas po szkole i zbiera na wymarzone studia aktorskie na Juilliard².

– Co się stało z twoimi rajstopami?

– Wiem, to moja ostatnia para. – Krzywię się.

2 Juilliard School – prestiżowa amerykańska uczelnia artystyczna w Nowym Jorku, kształcąca m.in. muzyków, aktorów i tancerzy.

– Może to i dobrze. – Tara wzrusza ramionami. – Zdejmij je i wyeksponuj nogi. Są przepiękne.

– Ale jestem w pracy.

– Gdzie sobie szefujesz. Przecież sama siebie nie wyrzucisz. – Klepie mnie po ramieniu. – Jak ty dałaś radę dojść tu z tą kupą złomu? Kręgosłup można przy tym złamać.

– Była tania – rzucam, jakby to był najważniejszy argument w dyskusji. – Starczyło mięsa?

– Właśnie się skończyło – odpowiada Jules, która akurat przysłała do nas z kuchni. – Chcesz ją od razu postawić na ladzie?

– Tak.

To dobry pomysł. Postawimy ją tam i już nigdy więcej nie będę musiała jej dźwigać.

Jules to rumiana blondynka. Twierdzi, że jest silniejsza niż niejeden chłop – i po prawdzie też byłabym w stanie stwierdzić, że mało który facet jest silniejszy od niej. Ona po prostu ma krzepę. W dodatku kocha swojego berneńczyka – Misia – więc całkiem dobrze się składa, że bez problemu nad nim panuje, bo zwierzę czasami zamienia się w istnego niedźwiedzia na smyczy.

Jules z łatwością chwyta kasę i nie zwracając nikomu głowy, w kilku krokach zanosi ją na sklepową ladę.

Truchtam w jej cieniu jak małe dziecko, ciesząc się, że całą zakupową wyprawę mam już za sobą.

– Cześć, Rudolfe – wita się ze mną Harry, jednocześnie obsługując klienta.

– Spadaj stąd. – Przepycham go biodrem i przejmuję prym za ladą. – Dzień dobry, co mogę podać?



– Rety, ale się zmęczyłem.

– Ty się zmęczyłeś? Spójrz na mnie! – Wzdycham.

Mamy właśnie godzinną przerwę w funkcjonowaniu restauracji i wszyscy usiedliśmy do wspólnego obiadu.

– Właśnie widzę. Poszło ci oczko – stwierdza Harry.

– Żeby tylko jedno. – Odchylam się na krzesło i prawie padam trupem, gdy widzę, jak wielkie dziury mam w rajstopach. – To bardziej gołe nogi niż nogi w rajstopach.

– Dlaczego ich nie zdejmiesz?

– To samo jej mówiłam – wtrąca Tara pomiędzy kęsami makaronowej uczty.

Harry to w rzeczywistości Stewart, ale wszyscy nazywamy go tak, bo jest rzyym i w dodatku niezwykle przystojnym mężczyzną. Wygląda jak brytyjski książę, dlatego okrzyknęliśmy go Harrym. W dodatku to najmilszy facet, jakiego znam. I parzy najlepszą kawę w mieście – a to niezaprzeczalne źródło wielu napiwków.

– Nie macie zapasowych rajstop?

Obie dziewczyny przecząco machają głowami.

– Jakie chcesz? Skoczę do sklepu i ci kupię.

– Naprawdę? – Rozpromieniam się.

– Jasne. Z chęcią rozprostuję nogi.

– Kartę mam w lewej kieszeni torebki. Dziękuję.

– Mhm... – mruczy, po czym szybko kończy swoją porcję makaronu. –

Wyjdę od zaplecza. Straszny tłum. – Wskazuje kciukiem na wejście główne.

– Wychodzę dziś wcześniej – stwierdza Jules. – Pamiętacie o tym, prawda?

– Pewnie, że tak. Jutro liczę na wszystkie szczegóły.

Jules ma dziś wieczorem zaplanowaną randkę z Alice – miejscową bibliotekarką. Wszyscy jesteśmy żądni plotek, bo nikt z naszej czwórki nie wie o szczęśliwego życia uczuciowego.

Nagle dobiegają nas strasznie jazgotliwe piski oraz pukanie w główną szybę.

– O w pieczarę! – przeklina Tara, a z widelca na talerz zsuwa się jej makaron. – Patrzenie, kto stoi za drzwiami!

Odwracam się i dostaję tiku nerwowego. Moja powieka zaczyna żyć własnym życiem.

Przez szklane drzwi macha do mnie pieprzony Alexander Turner i jeszcze beczelnie wskazuje na klamkę.

A co mu się nie podoba na zewnątrz? Szalone grono rozwrzeszczanych fanek, które ciągną go za kurtkę, spodnie i cholera wie, za co jeszcze? *Może im też wcisnął kit o dwudziestodolarówce w tylnej kieszeni?*

– To która z nas otwiera? – pyta rozemocjonowana Tara. – Mogę ja? Proszę, proszę, proszę! O matko, jestem jego fanką.

– Mamy przerwę. To nie instytut filmowy, że mamy otwierać podwoje, bo u ich bram stoi jakiś aktor – wyluszczam kąśliwie swoje zdanie.

– Wyniki sprzedaży nam podskoczą! – Tara z tym zdaniem na ustach poprawia szybko sukienkę i mknie w podskokach, aby wpuścić swojego idola.

Na sekundy ogłusza nas kakofonia krzyków, gdy Xander wchodzi do środka, a potem odgłos nosów rozbijanych o zamknięte drzwi.

– O mój Boże! O mój Boże! O mój Boże! O mój...

– Tara – napominamy ją razem z Jules.

Wydaje się strasznie skrępowana, ale wyciąga drżącą dłoń, której wierzch kurtuazyjnie całuje Turner. Za drzwiami rozlega się zbiorowe westchnienie.

Czy tam masowe omdlenie stulecia.

– To zaszczyt! Jestem ogromną fanką. Uwielbiam cię w *Psie na baki*, a już najbardziej w scenie, w której jako ostatni czysty glina walczysz z całym posterunkiem skorumpowanych świni!

– Chodzi o scenę, w której zdejmuję górę uniformu, aby nie krępowała moich ruchów?

– O tak! – Wzdycha rozanielona. – Wyjałeś mi to z ust.

– Miło mi. Alex Turner – przedstawia się.

– Wiem – odpowiada tak namiętnie, że aż się dziwię, że jeszcze się na niego nie rzuciła.

– To Tara – przedstawiam ją. – A to Jules. Jest jeszcze Harry, ale na chwilę wyszedł.

Tara wciąż nie puszcza jego dłoni i patrzy na niego jak na jakieś bóstwo.

– Cześć, marchewko. – Szczerzy zęby w uśmiechu.

– Ech, jesteś mało oryginalny. – Odwracam się do stołu i zabieram za dalszą konsumpcję.

– Co jecie?

– Makaron w sosie beszamelowo-szpinakowym, na szalotce z krewetkami i odrobiną papryczki chili – odpowiada od razu Tara. – Chcesz trochę? Nałóż ci.

Zrób mu przy okazji operację migdałków językiem.

– Obsłużę się, dzięki. – Xander sięga po szczypce, którymi nieporadnie przerzuca makaron na talerz.

Mrużę oczy, bo krew się we mnie gotuje, gdy ten aktorzyzna szoruje metalem o jedną z moich ulubionych patelni. Zaraz potem odsuwa sobie krzesło obok mnie, przez co jeszcze łapczywiej jem makaron. Wygląda to pewnie nieestetycznie, ale przynajmniej nie muszę już z nim rozmawiać.

– Wczorajszy kurczak był niedoprawiony.

Krztuszę się wielką kulą glutenu.

– Nie wiedziałam, że znacie się na tyle, że już próbowałeś jej popisowego dania – mówi Jules.

– No właśnie – wtrąca widocznie zazdrosna Tara.

– Jak to niedoprawiony?! – wyduszam pytanie razem z resztą nadgryzionego makaronu.

Może wygląda to nieelegancko, ale nie będę ryzykowała życiem, żeby tylko przypadkiem nie wyjść przed kimś na niezbyt kulturalną.

– Zwyczajnie. Zabrakło tymianku.

Wciąga makaron i mruczy z zachwytem. Ten widocznie mu smakuje. A moje dzieło popisowe – płodność mych rąk i artyzm kubków smakowych – już go nie zachwyca?!

- Nieprawda. Dodałam go.
- Może za mało – odpowiada pomiędzy kęsami.
- Ona zawsze dodaje wszystkiego w punkt – broni mnie Jules.
- Może tym razem jej nie wyszło? – pyta Tara ze zbyt słyszalną nadzieją w głosie.
- Młoda! Przeginasz – upomina ją blondynka.
- To jak z tym kurczakiem? – burczę, choć tak naprawdę ze ściśniętym łożadkiem czekam na werdykt.

Xander nachyla się w moim kierunku i, budując napięcie, oblizuje soczyste wargi.

Soczyste od sosu... nie żebym patrzyła na jego usta.

- Przepyszny – szepcze, a w moich uszach brzmi to jak pieszczota i chyba nawet mój kręgosłup by się ze mną zgodził w tej kwestii, bo czuję w nim przyjemne mrowienie.

- To czemu mnie niepotrzebnie straszysz? – pytam.
- Straszę? Aż tak przejmujesz się moją opinią?
- Przejmuję się opinią każdego niezadowolonego klienta.
- Ale ja nic jeszcze nie kupiłem, marchewko.
- Przestań mnie tak nazywać – charczę.
- Zmuś mnie.

Przez chwilę mierzymy się na spojrzenia. Kątem oka widzę, jak Tara niepostrzeżenie wsuwa kilka serwetek do biustonosza. To mnie dekoncentruje i przypadkiem zjeżdżam wzrokiem na tatuaż wystający spod dekoltu jego bluzki.

- To koza – podsuwa rozwiązanie zagadki.
- Dlaczego?
- Bo to jego chiński znak zodiaku – wtrąca się Tara. – Nie czytasz gazet?
- Po co, skoro mam specjały od zadań specjalnych?

Mile połączona komplementem dopowiada:

- Poproś, żeby powiedział ci, co oznaczają te pętle na jego przedramieniu.
- On tu siedzi – odpowiadam.
- Powiedz jej, Alex.

– Wiesz co, Taro? Ty pewnie opowiesz tę historię o wiele lepiej. –
Opiera się na krześle i daje jej pole do snucia opowieści.

– Alex ma własną teorię na temat całości. Uważa, że najpierw rodzimy się jako całość, a dopiero później, przez resztę życia, odkrywamy prawdziwego siebie. Stąd ta cienka obwódka oznaczająca narodziny i druga będąca symbolem naszej dojrzałej kompletności. Obie linie są pełne, lecz każda jest inna. Pierwszą dostajemy w komplecie z genami rodziców. Drugą tworzymy zupełnie sami.

Spoglądam na niego odrobinę inaczej. Nie posądzałabym go o takie przemyślenia filozoficzne, ale jego punkt widzenia jest dość klarowny. To sobie zawdzięczamy swój prawdziwy całokształt.

O ile to rzeczywiście jego przemyślenia i pismaki nic nie znadinterpretowały.

– To ładna przypowieść.

– Może usłyszysz kiedyś więcej – mówi enigmatycznie.

– Jestem! – rozbrzmiewa głos Harry’ego. Zaraz potem wyłania się od strony kuchni i przystaje zdziwiony.

– To twój brat?

– Co? Ależ nie! – Śmieję się. – To Harry, moja prawa ręka. Dosłownie.

– Alex Turner – przedstawia się i macha mu.

– Spoko – odpowiada zdawkowo. – Dagmarie, były tylko czarne. –
Wciska mi do ręki opakowanie z cienkimi rajstopami z nadrukowanym wzorem drobnych serduszek.

– Jesteś cudowny, dziękuję!

Cała się rozpromieniam i z uśmiechem na twarzy śmigam do łazienki, aby się przebrać.

Staję na toalecie, by zobaczyć w lustrze, jak wyglądają teraz moje nogi. I jest to cudowny widok. Czarne rajstopy dobrze współgrają z białą, sweterkową sukienką. Jest dość opięta, ale wyglądam w niej dojrzałej, a to podwoiło moje szanse na porannym pchlim targu.

Zadowolona z efektu wracam do towarzystwa.

- Ślicznie wyglądasz – komplementuje Harry.
 - To faktycznie ładna kompozycja – zgadzam się z nim.
- Alexander prycha głośno. Mrużę oczy i spoglądam na niego wojowniczo.
- Coś ci się nie podoba?
 - Nie jesteś moją szefową, więc nie zamierzam ci się podlizywać, ale nie zgadzam się z rudy.
 - Przecież wygląda ładnie – dodaje Jules.
 - Ale nie wygląda ślicznie.
 - Spierdalaj – burzy się Harry.
 - Ona cała po prostu jest śliczna. Cokolwiek miałyby na sobie albo czego by nie miała, zawsze będzie wyglądać ślicznie, bo to ona nadaje blasku ubraniom. A w tym komplecie wygląda jak słodka beza, którą ma się ochotę schrupać.

Na żółwika! Płonę krwistym rumieńcem i patrzę w podłogę. Przeczysuję włosy, żeby cokolwiek zrobić z rękoma, gdyż czuję się niekomfortowo.

- Hmm... Chyba musimy już otwierać.
- Właśnie. Godzina dla personelu minęła – podkreśla Harry. – Super, że wczoraj zadbałeś o jej bezpieczeństwo, ale mamy teraz pełne ręce roboty, więc mógłbyś już tak powoli wybywać.

Czyli rozmawiali o mnie, kiedy poszłam się przebrać. Niczego innego się nie spodziewałam.

- Dopiero będziecie mieli. – Alex posyła mu zawadiacki uśmiech. – Czego obecnie jest najwięcej na stanie? – zwraca się do mnie.

– Szarpanej wołowiny do kanapek, sałatki z kozim serem i grejpfrutowej rozkoszy.

- Uznaj, że masz już pustki na stanie, marchewko. – Mruga do mnie.

Szybko żegna się z resztą i sprawnie wychodzi, wprost do rozwrzeszczanych fanek. Błyskają flesze, a jazgoczące zastępy kobiet odprowadzają go do jego motocykla. Gdy tylko odjeżdża w tumanach dymu palonej gumy, tabun – jak jeden mąż – odwraca się i szarżuje na naszą restaurację.

Bez kolejki.

Po prostu wpada do nas masa głodnego wrażeń ludu.

– Na stanowiska – komenderuje zabawnie Harry i pędzi w stronę lady.
– Poproszę kanapkę z szarpaną wołowiną, sałatkę z kozim serem i mnóstwo grejpfrutowej rozkoszy! – krzyczy nastoletnia klientka, która rzuca na kontuar gotówkę. – Najlepiej potrójnie!

– Dla mnie też!

– I dla mnie!

– Musi starczyć dla mnie!

A my przywlekamy na twarze firmowe uśmiechy.



Odprawiam Tarę i Harry'ego tuż po zamknięciu, aby mogli chociaż odrobinę odpocząć, i zabieram się za sprzątanie. Jak zwykle włączam sobie przyjemnego audiobooka o bardzo ognistej treści i z wypiekami na twarzy ogarniam to pobożowisko.

Gdy wychodzę na zewnątrz, zauważam Alexandra opartego o motocykl.

– Chyba jednak nie masz tej roboty, skoro całymi dniami za mną ganasz.

– Tym razem chcę być całkowicie pewien, że wrócisz do domu bezpiecznie.

– To ostatnim razem nie byłeś?

– Nie. Widziałem tylko, jak weszłaś do budynku.

O nie, facet. Nie dam się nabrać na takie gierki. Nie ze mną te numery.

– Moje majtki całkiem nieźle się mnie trzymają.

Brzdęk kluczy, towarzyszący mi przy zamykaniu drzwi do restauracji, jest niczym w porównaniu z jego dźwięcznym śmiechem. Mam wrażenie, jakby ktoś włączył dodatkową latarnię i sprawił, że jej blask dodaje mi energii.

Ten śmiech nie powinien robić ze mną takich rzeczy.

– Zabawna jesteś. Nie podrywam cię, marchewko.

– No pewnie, że nie. Nie jestem znaną aktorką z pierwszych stron gazet.

– Myślisz, że interesują mnie tylko sławne kobiety? – Podaje mi kask.
– To byłoby logiczne. Taką mnie zaraz oskarżyłbyś o chęć wzbogacenia się twoim kosztem.

Kręci głową, jakby zawiedziony moim tokiem rozumowania.

– Masz mnie za tak płytkiego człowieka?
– Nie znam cię. – Wzruszam ramionami. – Nie muszę cię mieć za nikogo.

– Masz trochę czasu?
– Nie. Muszę wracać do domu, wypaść się, bo jutro czeka mnie powtórka z rozrywki.

– Nikt z rodziny nie pomaga ci w prowadzeniu restauracji? Czytałem, że biznes jest w waszej rodzinie już trzecie pokolenie. Może mogłabyś oddać trochę pracy rodzicom? Ta mania kontrolowania wszystkiego zaprowadzi cię kiedyś na manowce.

– Nic o mnie nie wiesz, ale do wypowiadania się na mój temat to jesteś pierwszy – syczę, wsiadając na motocykl za nim.

Obejmuję go mocno w talii. Odrobinę skacze mi puls, bo nigdy, prze nigdy nie dotykałam tak umięśnionego mężczyzny.

Słodki żółwiku! Z niego można zrobić tarkę do żółtego sera.

– Proszę, odwieź mnie do domu. Jestem naprawdę bardzo zmęczona – szepczę w jego kark.

Ma takie ładne kręcone włosy. Zafascynowana obserwuję, jak przez całą drogę podskakują, wprawione w ruch falami powietrza.

Turner zatrzymuje się pod moim apartamentowcem i przez chwilę przyciska moje palce do swojego brzucha. Czuję się z tym odrobinę niekomfortowo.

– Chyba mogę już zejść, prawda?
– Nie masz ochoty na więcej? – odpowiada pytaniem na pytanie.
– Więcej? – Marszczę nos, nie rozumiejąc. – Przecież odwiozłeś mnie do domu. Nie chcę jechać nigdzie indziej.

Klepie mnie po łydce, co odczytuję jako znak, że mogę się zbierać.

Kiedy ściągam kask, dopada mnie poczucie winy. Specjalnie się po-fatygował, aby bezpiecznie dostarczyć mnie pod dom, a ja ciągle daję mu jakieś pstryczki w nos.

Tylko czemu miałby się mną przejmować? Lepszych kobiet znajdzie na pęczki.

– Dagmarie – zaczyna cicho, a mnie coś fika w żołądku. – Chcę się z tobą jutro spotkać.

Patrzę ze zdziwieniem w jego czekoladowe oczy. Dostrzegam, że w ką-ciku prawego ma małą, prawie niewidoczną bliznę. Wygląda, jakby coś go w tym miejscu zadrapało w przeszłości.

– Mówiłeś, że mnie nie podrywasz – stwierdzam z prostotą. – Więc po co miałbyś chcieć się spotkać?

Ja do niego nie pasuję – nawet wizualnie. Wyglądam tak zwyczajnie przy pięknie wyrośniętym modelu z żurnala.

– W celach biznesowych, marchewko. – Wyciąga dłoń i chwyta pu-kiel moich włosów.

Czuję, jak łagodnie przesuwają kosmyki pomiędzy palcami.

– Są naturalne.

Uśmiecha się w odpowiedzi.

– Niczego innego nie podejrzewałem. To jak z tym spotkaniem?

Jestem ciekawa tych „celów biznesowych”. Może on uważa, że Queue potrzebuje jego wsparcia? Może chce zostać twarzą marki czy coś?

Nie narzekam na brak klientów, ale dodatkowe pieniądze...

– Dobrze. – Kiwam szybko głową, zanim mój racjonalizm każe mi się rozmyślić. – Jeśli masz czas, to jutro po szóstej będę już w mieszkaniu.

– W takim razie przyjadę po ciebie.

– Tylko czymś, co bardziej przypomina papamobile. – Krzywię się. – Podczas przejażdżki moje serce zamieniło się miejscami z tarczą. Nie chcę bardziej poprzestawiać swoich wnętrzności.

– W takim razie do jutra, marchewko.

– Do jutra, idolu nastolatek.

Na szczęście się nie upiera, aby odeskortować mnie pod same drzwi bloku. Zanim znikam za nimi, wydaje mi się, że słyszę coś na kształt zadowolonego mruczenia.

Mam nadzieję, że był po prostu dobrze najedzony, a nie że gapił się na moje cztery litery.



Rozdział 3



– Daggie, zaspalaś! Wstawaj wreszcie! – Głos mamy wyrывa mnie z głębokiego snu.

Gdy otwieram oczy, widzę jej pełne dezaprobaty spojrzenie i osądzącą wyraz twarzy.

– Tara otwiera dziś restaurację. Wszystko będzie dobrze – uspokajam ją.

– Chcesz, żeby ojciec się o tym dowiedział? Mam dość słuchania, że jesteś śmierdzącym leniem bez perspektyw na życie. Rusz się i idź do pracy. My w twoim wieku już dawno zarabialiśmy na chleb.

– Ja przecież pracuję... – bronię się nieporadnie.

– Co tam się dzieje, Maggie? – Słyszę, jak ojciec szoruje kapciami o podłogę. *Idzie. Spinam się.*

Zagląda do pokoju. Nie musi nic mówić – widzę, jak bardzo jest mną rozczarowany. Jego wzrok pada na różową narzutę w dziecinne kotki i zbyt małe biurko, którego do tej pory nie wymieniłam. Czuję, jak wstyd rozlewa się po moim umyśle. Nic z tym nie umiem zrobić.

– Za mało pracujesz, skoro po ósmej jeszcze smacznie śpisz. Nie tak cię wychowałem, Dagmarie.

Jego słowa są niby niepozorne, ale słyszane od lat w różnych konfiguracjach ranią jak sztylety. Nie potrafię opędzić się od nieznosnego uczucia, że zawiodłam rodziców.

– Już wstaje, Robercie – zapewnia mama, kładąc swoją dłoń na jego czerwonej koszulce, w której chodzi od wtorku.

Dziś jest poniedziałek, następnego tygodnia.

– Leń i nierób, tyle ci powiem, Margaret. Dwadzieścia pięć lat i żadnych perspektyw na życie. Nie ma chłopaka, znajomych czy własnej pracy.

Pasożyt, który ciągnie z nas tyle, ile się da. Czeką na naszą śmierć, aby dochrapać się własnej restauracji i tego mieszkania. Największy zawód mojego życia – wypłukać z siebie, a potem jak gdyby nigdy nic zniknąć.

Mama stoi chwilę, po prostu patrząc za nim tęsknym wzrokiem. Zastanawiam się, czy kiedyś był inny.

Lepszy.

Chyba musiał być, skoro za niego wyszła. Oczarował ją do tego stopnia, że wpuściła go do swojego życia, do rodzinnego biznesu i pozwoliła spłodzić jego największe rozczarowanie.

– Po co denerwujesz ojca, Daggie? – pyta cicho. – Nie wiesz, że teraz będzie bardziej chętny się napić? Przecież ma chore serce. Zbieraj się szybko do restauracji i przynieś dziś brownie. Będziemy mieli na jutro do porannej kawy.

Gdy mama wychodzi, szybko wskakuję pod prysznic i szykuję się, jakby gończył mnie sam diabeł. Nie pomaga to jednak uciec od poczucia beznadziejności napędzającego każde moje działanie. Cokolwiek zrobię – albo czegośkolwiek nie zrobię – zawsze kończę jako żalosny, miażdżony i nieudolny efekt życiowej porażki.

Zaciskam zęby, połykam niewypłakane łzy i ruszam do pracy.

Jak codziennie od sześciu lat.



Wściekle siekam gorzką czekoladę, myśląc tylko o tym, jak sprawić, żeby moje negatywne emocje nie wsiąkły w przygotowywane ciasto.

– Nie jesteś tym, co jesz. Wcale nie czujesz mojej energii i wcale – syczę ostatnie słowo, uderzając tasakiem w drewnianą deskę – nie jesteś tabliczką czekolady, która już trzy razy spadła mi do zlewu! – Duży kawałek odrywa się i tym razem spada na podłogę. – Aaa! – wrzeszczę, popychając niczego nieświadomą deskę. Tasak łąduje za to w brudnym garnku po zupie.

Pochyliam się nad blatem kuchennym, przymykając oczy, jakby miało mi to pomóc ukoić emocje. Razem z Harrym zamknęliśmy Queue o ósmej,

więc jestem sama w pustej restauracji. Dziś wszystko wyszło inaczej, niż miałam w planach. Spaliłam ulubiony garnek, moja nowa ozdobna kasa fiskalna roztrzaskała się, gdy natrętny klient chciał koniecznie sprawdzić, czy coś znajduje się w środku, a w dodatku dostałam okres.

A jakby tego było mało, w połowie drogi powrotnej do domu zorientowałam się, że zapomniałam o brownie.

Właściwie nawet go nie zrobiłam.

Dlatego wróciłam się i od trzydziestu minut próbuję posiekać tę cholerną tabliczkę czekolady, ale ona nie chce ze mną współpracować.

Warczę, gdy rozbrzmiewa firmowy telefon. *Przecież mamy zamknięte!*

– Dzień dobry, tu Queue. Niestety dziś mamy już zamknięte. Ze wszelkimi zamówieniami proszę dzwonić jutro z samego rana.

– Zamawiałem ciebie. – W moim uchu rozlewa się przyjemnie brzmiący tembr głosu.

– Ach, to ty.

Cholera. Kompletnie zapomniałam, że miałam się z nim spotkać o szóstej.

– Możesz mi otworzyć? – pyta, a we wnętrzu lokalu rozlega się głuche pukanie od strony zaplecza. – Tylko się nie rozłączaj, żebyś wiedział, że znów mnie nie olałeś.

– Ten telefon ma kabel, panie gwiazdo! – wydzieram się nader potrzebnie. – Jak mam otworzyć drzwi, kiedy do nich zwyczajnie nie dosięgam?!

– Dobra. Słyszysz cię nawet bez telefonu. Po prostu je otwórz, Dag.
„DAG”?!

Stąпам głośno jak nosorożec i równie głośno dysząc, otwieram z impetem drzwi. Alexander obrywa w stopę, przez co cicho wyklina coś pod nosem.

– Co w ciebie wstąpiło? Demon cię opętał?

– Mniej więcej – burcząc pod nosem, ruszam w stronę kuchennego pobojuwiska.

Zaglądam do szafki i wyciągam z niej ostatnią tabliczkę gorzkiej czekolady.
Lepiej, żebyś ze mną współpracowała.

– Daj to. – Alexander wyrywa słodycz z moich rąk.

Dokładnie myje ręce w zlewie i zabiera się za krojenie. Resztkom czekolady na blacie nie poświęca zbytnej uwagi. Sprawnie sieka na części twarde wyrób cukierniczy.

Opieram się o blat i obserwuję plecy mężczyzny. Ma naprawdę szerokie mięśnie, przez co wygląda jak marzenie senne większości kobiet. Sprawność, z jaką operuje nożem, nawet mnie imponuje.

– Robisz babeczki z czekoladą?

– Nie. Brownie.

Odwraca się i ponosi jedną ze swoich idealnych brwi, mierząc mnie przenikliwie wzrokiem.

– Więc chyba nie powinienem pytać, po co tak zaciekle mordujesz tę czekoladę, skoro i tak potrzebujesz ją roztopić.

No właśnie. *Po co to robisz?* Jestem aż tak beznadziejna, że dokładam sobie roboty, byle tylko odwlec czas powrotu do domu, bo tak bardzo chciałabym wrócić, gdy rodzice będą już spali.

Do tego stopnia jestem żalosna.

– Czy to boli? – pytam cicho.

– Co, marchewko?

– Bycie idealnym chociaż przez jeden dzień – stwierdzam z trudem. – Czy to jest tak bolesne, że moje życie robi wszystko, aby mnie przed tym uchronić?

– Coś się stało – stwierdza lub pyta cicho. Właściwie sama nie wiem.

– Nie. Wszystko w porządku.

Nerwowo wbijam paznokcie w udo. Trzymam je tam do momentu, aż odwróci to moją uwagę i pozwoli wziąć głęboki, życiodajny oddech.

Alexander obserwuje każdy mój ruch. Widzę, jak uważnie śledzi mnie wzrokiem. Jak zauważa moje zdenerwowanie. Jak sonduje w skupieniu wyraz mojej twarzy. Jak mnie ocenia. Zawsze ktoś mnie ocenia.

Mam tego dosyć.

Podchodzi i zamyka mnie w swoich ramionach. Przytula tak zwyczajnie i po ludzku, że nie jestem w stanie odmówić mu tego kontaktu. Wspinam się na palce, obejmując jego kark i wtulam się w niego każdym centymetrem ciała.

Nie mówi nic, a ja po prostu trwam, starając się wycisnąć z tego momentu najwięcej, ile potrafię. Chcę trwać w tej chwili milczenia, tej ciszy, która pozwala mi głębiej oddychać.

– Chodź – komunikuje, biorąc mnie na rękę.

Nie protestuję. Biernie się poddaję, gdy sadza mnie na blacie i przysuwa sobie krzesło, aby usiąść naprzeciwko. Nie mówi nic więcej, tylko zsuwa trampki z moich nóg i obie stopy kładzie na swoim udzie. Przygląda się przez chwilę moim udom, ale to trwa zaledwie moment, bo po chwili chwyta moją kostkę i zaczyna masować lewą nogę.

– To niezbyt higieniczne. Wciąż jesteśmy w zakładzie spożywczym.

– Niehigieniczne jest twoje nastawienie. Siedź cicho i odpręż się wreszcie, do cholery – mówi, jakby zirytowany. Mocno ugniata moją stopę, a ja cieszę się, że mam na sobie nowe, czerwone rajstopy.

Przynajmniej tyle, jeśli chodzi o zachowanie pozorów przyzwoitości.

– Co o mnie czytałaś? – pyta cicho, nie przerywając zajęcia.

– Nie miałam jeszcze na to czasu. Wiem tylko tyle, ile sam mi powiedział – przyznaję zgodnie z prawdą.

– Do diabła, to trudne rozmawiać z kimś, kto jest kompletnym ignorantem w sferze kulturowej.

– Wybacz, że nie śledzę portali plotkarskich.

Patrzy mi butnie w oczy i mówi:

– Wiesz, myślałem, że zainteresowałem cię sobą chociaż w tak drobnym stopniu, że sprawdzisz mój biogram.

– Nie masz przypadkiem zbyt dużego ego? Czy każdy, kto stąpa po tym padole, musi zachłannie śledzić każdy twój ruch i znać całą twoją filmografię? – odgryzam się. – Chociaż to może i ma swoje plusy. Przynajmniej nie musisz się z nikim bić w metrze. Wystarczy, że dasz autograf, a twoi fani już sikają po gaciach.

Nie jestem zbyt uprzejma, ale jakoś trudno mi współczuć komuś, kogo jedyną pracą jest wcielanie się na planie w filmowe postacie. Co on wie o prawdziwej harówce w pocie czoła?

– Xander?

Nie odpowiada. Właściwie nawet na mnie nie patrzy. Jednak nie przestał masować mojej stopy, toteż wciąż istnieje nadzieja, że chce tu ze mną być.

– Przepraszam. To było wredne.

– Nie, marchewko. To było po prostu niemiłe.

Ma rację. Cały czas jestem dla niego niemiła. Dogryzałam mu za każdym razem, gdy się widzieliśmy, a mimo wszystko wrócił.

Tylko dlaczego?

– Czemu mnie po prostu nie zostawisz?

W jednej chwili podnosi wzrok, czym wydusza ze mnie oddech. Jego spojrzenie ma potężną siłę. Dość płytko go oceniłam. W jego oczach odbija się pewna głębia. Zdecydowanie nie jest pustym człowiekiem. Poszlaki dostrzegam dopiero teraz. Martwił się o bezpieczny powrót do domu nieznajomej, potem oderwał się od obowiązków, aby ponownie zawieźć ją – mnie – do domu. A teraz cierpliwie znosi moje humory i w dodatku robi mi cudowny masaż stóp.

A w podzięce dostaje jedynie kolejną porcję humorzaście upartej oślicy.

– Już mówiłem.

– Nie, nieprawda. Chyba... – Marszczę brwi w skupieniu, ale nie mogę sobie przypomnieć, abyśmy rozmawiali na ten temat.

– Czyli umiem grać? – Szczerzy zęby w uśmiechu. – Łykasz wszystko, czym ktoś cię nakarmi. Więcej wiary w siebie, marchewko.

– O rany! Możemy wrócić do tematu? Dlaczego się do mnie doczepiłeś?

Mocno ugniata zarówno łydkę, jak i stopę, a ja mam ochotę położyć się i rozkoszować relaksem spiętych mięśni. Ktoś, kto nigdy nie pracował w gastronomii, nie wie, czym jest prawdziwy ból nóg.

– Po prostu jesteś inna – mówi, jakby ten argument wyjaśniał wszystko. – I możemy sobie wzajemnie pomóc.

Wstaje, kopniakiem posyła krzesło pod stół i żwawo wskakuje na blat obok mnie. Patrzę, jak chwyta słoik z orzechami i po prostu zaczyna je wcinać. Widząc moją minę, wyciąga go również w moim kierunku i gestem proponuje mi trochę orzeszków.

Proponuje mi moje własne orzeszki!

– Zostaw je! – Chwytam słoik i przez chwilę się o niego siłujemy.

Albo mnie wygodniej tak to nazwać, bo słoik ani drgnie. Mój przeciwnik ma zdecydowanie więcej siły i przewagę w postaci długich palców.

To nie fair.

Puszczam słoik, obrażona na brak oglady ze strony gwiazdora.

– Mógłbyś chociaż umyć ręce. Przed chwilą dotykałeś moich stóp – burczę.

– Mmm... – mruczy, oblizując palce.

– Xander! – Uderzam go lekko otwartą dłonią w udo.

– Dagmarie! – przedrzeźnia mnie.

Przewracam oczami i wzdycham głośno. Jest gorszy niż dziecko.

– Nie wracasz dziś do domu? – pyta zaczepnie.

– Wracam. Dlaczego miałabym nie wracać? Zadajesz dziwne pytania.

– To co tu robisz po dziesiątej wieczorem?

– Brownie dla rodziców – odrzekam zgodnie z prawdą.

– Pfff! – Zeskakuje z blatu, sprawnie wkłada mi buty, a następnie chwyta klucze do lokalu. – W takim razie umowę biznesową możemy omówić u mnie. – Najzwyczajniej w świecie przerzuca mnie sobie przez ramię.

Szybkość tego gestu wywołuje chwilową dezorientację, dlatego bezgłośnie obserwuję, jak jego pośladki śmiesznie się poruszają, gdy chodzi.

Są strasznie blisko mojej twarzy. *Może to nowe pojęcie grawitacji jednak polubi się z moim błędnikiem?*

Alexander Turner wynosi mnie zapleczem, zamyka restaurację i wpakowuje prosto do swojego auta. Na kamerce musi to wyglądać jak rasowe porwanie właścicielki znanego lokalu.

Może wreszcie napiszą o mnie w gazetach? Mama bardzo by się ucieszyła.

Gdy okrąża auto, poświęcam sekundę na docenienie, że jego samochód to najzwyczajniejsza klasa średnia. Mnie co prawda nadal nie byłoby na taki stać – ale jestem przekonana, że Turnera stać na dużo więcej niż sam hamulec ręczny od Ferrari.

- Dlaczego Ford? – pytam, gdy wsiada.
- To dobra marka. – Odpala silnik i sprawnie włącza się do ruchu.
- O cholera!
- Co? Podobam ci się za kierownicą?
- Nie!
- Aua...
- Zapomniałam torebki! – Odwracam się w jego kierunku, wykonując niezwykle nieroztropny gest, ponieważ chwytam go oburącz za przedramię. – Musimy wrócić.
- Masz tam coś istotnego?
- Telefon, klucze i... – *Podpaski*. – Musimy koniecznie wracać.
- Do jutra przeżyjesz.
- Słucham? Alexander! – Potrząsam ręką, którą trzyma na kierownicy.
- Przenocujesz u mnie. – Wzrusza ramionami. – Potrzeba wyższa.

Na żółwika! Najgorsze, że jestem teraz kompletnie zależna od niego. Czuję się nagle naga, samotna i niezwykle bezbronna.

Do tego bezdomna.

– Obiecałam rodzicom brownie na śniadanie. – Łapię się ostatniej deski ratunku.

Pytanie, czy ja faktycznie chcę zostać uratowana. W moim życiu nie dzieją się takie przygody. Nie codziennie poznaję bożyszcze nastolatka, które porywa mnie do swojego domu, aby paktować biznesowo – czego akurat jestem cholernie ciekawa. I niecodziennie dostaję możliwość zbuntowania się rodzicom życiem po swojemu.

Dlatego czuję dość spory dysonans moralny. W niedługiej przyszłości okaże się, co było dla mnie kompasem.

– Więc z samego rana kupimy i dostarczymy im brownie – mówi, jakby nie widział żadnego problemu. – To chyba nie pierwszy raz, kiedy uciekasz na noc z chłopakiem, co?

Cóż mam mu powiedzieć? Dziewicą nie jestem, ale moje romanse kończyły się niemal tak szybko, jak się zaczynały. Nie uraczę go przecież opowieścią o tym, jak poświęcanie się pracy ogranicza życie towarzyskie

do minimum. Gdzie w tym zabawa? Może nadszedł właśnie czas na bycie odrobinę psotliwą.

– Chłopcy już dawno mnie nie interesują.

Odkrztusza, jakby flegma zaległa mu w gardle.

– Wolisz dziewczyny?

– Xander! Przestań się ze mnie nabijać! Zresztą to nie jest temat do żartów.

– Nie rób ze mnie homofoba, marchewko – mówi dość ostro – bo nim nie jestem. W środowisku artystycznym prawie nic nie jest mi obce, a już na pewno nie coś tak najzwyczajniejszego jak związek kobiety z kobietą. Ale to muszę akurat wiedzieć. Podobają ci się kobiety? Tylko kobiety?

– Alexandrze Turnerze, jesteś urodzonym meandrystą.

– Proszę, wyjaśnij – mówi, zaciskając szczęki.

– Meandrujesz od tematu do tematu, przez jeszcze kolejny temat. Ale nie, nie interesują mnie kobiety. Nie w taki sposób. To zawsze byli mężczyźni – podkreślam ostatnie słowo. – I również nie: nie zwykłam uciekać z domu na nocne randki.

– Kiedyś trzeba się zepsuć.

– Nie, dziękuję.

– A więc poprawka: kiedyś będzie trzeba cię zepsuć.

Wjeżdżamy do podziemnego garażu wysokiego wieżowca. To tyle, jeśli chodzi o moje stawianie warunków. Teraz jestem na jego łasce. Nie mam nawet karty do metra.

Alexander sprawnie prowadzi naszą małą wycieczkę objazdową na właściwe miejsce, które znajduje się tuż przy windach. Chyba wykupił najlepsze, jakie tylko się dało.

To akurat jestem w stanie zrozumieć.

– Na którym piętrze mieszkasz? – pytam, gdy wysiadamy z auta.

– Nie powiem ci. Ty też wielu rzeczy nie chciałaś mi powiedzieć.

Staje za mną i zasłania mi oczy. Czuję, jakbym miała zaraz stracić równowagę, więc obiema rękami uwieszam się jego dłoni, ale to na niego nie działa – niewzruszenie odbiera mi zmysł wzroku.

– Możesz też być jakąś szaloną fanką. Nie będę ryzykował – szepcze gdzieś nade mną.

Wyczuwam, że wchodzimy do windy i ta rusza w górę. Nic więcej jednak nie wiem. Gdy docieramy na właściwe piętro, popycha mnie lekko, aż w końcu przystajemy.

– Witam w moich skromnych progach.

Zabiera rękę, a ja znajduję się już w otwartych drzwiach jego mieszkania. Wchodzę i łapczywie chłonę wszystko, co napotykam wzrokiem.

A nie widzę zbyt wiele.

Mieszkanie wygląda, jakby dopiero co się wprowadził. Nie ma żadnych ozdób, nagród z jego pracy czy chociażby rozłożonych scenariuszy filmowych – jak to sobie wyobrażałam. W środku jest tylko salon z aneksem kuchennym i dwie pary drzwi. Jedne zapewne do sypialni, a drugie do łazienki. Apartament został wyposażony jedynie w rzeczy niezbędne. Sofa, dwa fotele, ekspres do kawy... Nie ma nawet telewizora. Moja mama byłaby niepokieszona, gdyby się dowiedziała, że gwiazda kina akcji nie posiada odbiornika telewizyjnego.

– Naprawdę skromne – przyznaję, zaglądając do lodówki.

Ma w niej dużo świeżych warzyw, mięso mielone, nabiał i kilka deserów proteinowych. Zamrażarka jest z kolei pełna mrożonych owoców i warzyw. Z niezdrowych rzeczy zauważam raptem kilka jednoporcjowych opakowań lodów i dwie pizze.

Jak na kawalera i podobno wziętego aktora, wygląda, jakby sam gotował.

– Częstuj się, czym tylko chcesz – mówi, zdejmując koszulkę.

A moje podbrzusze przypomina o sobie bólem.

– To nie był dobry pomysł – wykrztuszam.

– Czemu, marchewko?

Kładzie T-shirt na wolnym krześle i jak gdyby nigdy nic paradyje przede mną z nagim torsem z wytatuowaną kozą. I ze wspaniałymi mięśniami, wyrzeźbionymi zapewne morderczymi treningami.

Przełykam głośno ślinę i wewnętrznie godzę się ze swoją kompromitacją.

– Nie wzięłam torebki, a w niej miałam podpaski. Potrzebuję ich.

Przystaje na wprost mnie, szczerząc się niezwykle chłopięcym uśmiechem, który widać nawet w oczach.

– To dlatego jesteś taka marudna. Już myślałam, że to ze mną jest coś nie tak.

– Xander!

– Co?! – Znów mnie przedrzeźnia.

– To krępujące.

– Chyba faktycznie takim to dla siebie czynisz. – Przekręca głowę na bok, a kosmyki jego włosów miękko przesuwają się na górną część policzka. – Nie mogę się zdecydować, co jest bardziej czerwone. Ty, twoje rajstopy czy...

– Nie kończ!

Zakrywam twarz rękoma, żeby choć połowicznie odciąć się od pocucia zażenowania. Wiem, że Alexander rusza do lodówki, bo słyszę, jak ją otwiera. Przez chwilę głośno coś żłopie, a ja zastanawiam się, jak nazywał się ten fetysz mlaszczących dźwięków, bo nagle czuję dziwną potrzebę przypomnienia sobie tej nazwy.

– W łazience znajdziesz wszystko, co potrzeba – mówi z orzeźwiającym westchnieniem. – Chcesz coś do picia?

– Co powiesz na truciznę w drinku z palemką?

– Bardzo zabawne.

O cholera! Powiedziałaś to.

Ruszam do drzwi, które okazują się prowadzić do jego sypialni – swoją drogą bardzo ciemnej – a potem zawracam i odcinam się od niego już we właściwym pomieszczeniu.

Otwieram z rozpędu pierwszą szafkę i faktycznie znajduję w niej podpaski.

Mnóstwo podpasek i czego tylko dusza zapragnie. Szuflady uginają się od jednorazowych artykułów higienicznych i o ile jestem w stanie zrozumieć mini mydełka czy szczoteczki do zębów, to za cholerę nie pojmuję, do czego mu pieluchomajtki.

Chwytam podpaskę i szybko się oporządzam.

Z ciekawości przetrzepuję resztę szafek. Okazuje się, że ma też zapasową bieliznę, kilka długich bluzek i puchaty szlafroczek. Wszystko dla pań, które ewidentnie często tu goszczą.

Jedyne, czego nie znajduję w szafkach, to maszynka do golenia. Więc albo przyjmuje jedynie wydepilowane laserowo kobiety, albo lubi damskie owłosienie. Stawiam jednak na lalki Barbie, co jest pewnie naturalne w jego branży. Ja też chętnie zapoznałabym się z laserem, żeby urządzić pogrzeb moim wrastającym włoskom.

Wychodzę, a w pokoju cicho gra jakaś kojąca, instrumentalna muzyka. W dodatku Alexander rzeczywiście przygotował mi drinka.

Świetnie powiada się to spotkanie biznesowe.

– Nie wiedziałem, czy pijesz alkohol, więc jest bez trucziny – mówi, podając mi koktajl.

– Mhm... – mruczę, wachając zawartość. Pachnie głównie ananasem. To też oczywiście typowo biznesowy przysmak.

– Co tam? Chcesz, żebym napił się pierwszy czy znaleźć ci papierek lakmusowy?

Siorbię i ze zdziwieniem stwierdzam, że nasypał tam soli i wiórków kokosowych, ale całość smakuje bardzo przyjemnie.

O dziwo.

– Nie, wystarczy mój żmijowaty języczek. No wiesz. Swój pozna swego.

Wciąga powietrze i patrzy się na mnie intensywnie. Tak intensywnie, że jego oczy aż błyszczą.

– Mówiłam o truciźnie – precyzuję.

– To nie używaj już słów „języczek” i „żmijowaty” w jednym zdaniu, bo mój mózg tego nie wytrzyma.

– Tych słów?

– W twoich ustach brzmią dziwnie niestosownie. I nie wiem, czy mi się to podoba. Mamy sprawę do omówienia.

– To omawiamy.

Siadam na wysokim hokerze i sprawdzam jego obrotność. Odpycham się od blatu i szybko kręcę wokół własnej osi, o mało nie rozlewając koktajlu.

Śmieję się, bo to takie zwyczajne. Nie spodziewałabym się, że Xander może być po prostu... Xandrem. Pomimo że sytuacja jest dla mnie niecodzienna, on zachowuje się całkiem normalnie. Nie stara się imponować mi swoją karierą czy pieniędzmi.

Przynajmniej do tej pory. Chyba takie rzeczy jednak powinny się dziać, zwłaszcza na początku, prawda?

- Jesteś taka inna... ożywca.
- Powtarzasz się.
- Wiem. To do mnie niepodobne.

Opiera się o blat po drugiej stronie, a ja zastanawiam się, co mu teraz chodzi po głowie. Wygląda, jakby bił się z myślami, co powiedzieć jako pierwsze.

– Zamierzasz trzeci raz stwierdzić, że jestem inna niż dziewczyny, które znasz, i że to niespotykane? – drążę temat.

– Nie, dlaczego?

– To dobrze. Wtedy pomyślałabym, że autentycznie chcesz coś ugrać. – Wypijam bezalkoholowego drinka do końca i mówię: – To dziwna kombinacja, ale smaczna. Zrobisz mi jeszcze jednego?

Alexander trochę się peszy i przez chwilę drapie po głowie. Potem jednak otwiera jedną z szuflad i wyciąga z niej puszkę. Ciszę przerywa głośnie pstryknięcie otwieranego metalu, które zaraz zostaje zastąpione szumem płynącego napoju z lekkim gazem.

– Będę dziś dla ciebie nadzwyczaj miła i nie skomentuję tego.

– Jakbyś miała wybór. Dziś nocujesz u mnie. – Uśmiecha się szczerze. – Podlizujesz się, bo myślisz, że dostaniesz łóżko.

– A zaproponowałbyś damie kanapę?

– Damie tak.

– Chyba coś ci się pomyliło. – Teraz ja również się szczerzę. – To właśnie damie powinienś zaproponować wygodne łóżko.

– Nie zapraszam dam do swojego łóżka, Dagmarie – szepcze.

Opluwam się lekko napojem.

Słodki żółwiku! Dlaczego to zabrzmiało tak erotycznie? Przecież my nawet ze sobą nie flirtujemy.

– To co z tą propozycją? – odchrząkuję nerwowo.

– Dobrze. Do rzeczy. – Bębni palcami o kuchenny blat wyspy. – Chcę, żebyś dla mnie pracowała.